

Julian Wojtkowski

Na styku dziejów zbawienia z historią Wielkopolski : (Andrzej Wojtkowski 1891-1975)

Studia Warmińskie 4142, 415-430

2004/2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

NA STYKU DZIEJÓW ZBAWIENIA Z HISTORIĄ WIELKOPOLSKI (ANDRZEJ WOJTKOWSKI 1891–1975)¹

Gromada Przygodziczki w połowie XIX wieku należała do parafii kotłowskiej. Sołtysiem był Wawrzyniec Wojtkowski, żonaty z Katarzyną *primo voto* Pocztarzową. Wychowali siedmioro dzieci, trzech synów i cztery córki, z których tylko troje znanych jest z imienia: Jan Pocztaż, Antoni i Elżbieta Wojtkowscy.

Jan Pocztaż, urodzony w 1842 roku, poległ jako powstaniec w bitwie pod Lututowem 15 czerwca 1863 roku, ugodzony kulą w czoło podczas rozpaczliwej walki oddziału wziętego we dwa ognie przez Rosjan, nacierających jednocześnie od Kalisza i Wielunia.

Najmłodsza z dzieci Elżbieta Gąsiorkowa pozostała na ojcowiznie, zgodnie z tradycją rodzinną, liczącą na to, że córka lepiej zadba o starych rodziców niż synowa. Zmarła w 1912 roku.

Antoni, urodzony w 1848 roku, był człowiekiem wybitnie zdolnym. Od najmłodszych lat pomagając w gospodarstwie rzadko chodził do miejscowej szkoły. Nauczyciel jednak wołał go osobiście z pola lub łąki, gdy przyjeżdżał inspektor. Z polecenia ojca mając lat piętnaście zbierał jadąc wozem przez wieś żywność dla powstańców 1863 roku i wiózł na bagna nad Baryczą, gdzie się ukrywali do czasu przekroczenia kordonu, dzielącego zabór pruski od rosyjskiego.

Z małżeństwa Antoniego Wojtkowskiego z Julianną Pausiówną (spolszczona forma nazwiska Paulus), zawartego w Kotłowie około roku 1870, przyszło na świat jedenaścioro dzieci. Troje z nich zmarło w wieku dziecięcym. Józef zginął w katastrofie górniczej w Essen w 1902 roku. Elżbieta zmarła na gruźlicę w 1938 roku. Franciszek został zamordowany w lasach przygodzickich w 1945 roku. Pozostałych pięcioro zmarło własną śmiercią już po drugiej wojnie światowej, nie przekraczając 83 roku życia.

¹ Artykuł napisany w styczniu 1980 roku na prośbę ks. mgr. Feliksa Lenorta, wówczas dyrektora Biblioteki Seminaryjnej w Poznaniu i redaktora tomów biograficznych o zmarłych Wielkopolanach, wydawanych przez Księgarnię Świętego Wojciecha w serii „Byli wśród nas”. Jej wydawanie wstrzymał ówczesny Arcybiskup Metropolita Poznański dr Jerzy Stroba. — Tekst artykułu pozostaje ten sam. Zmiany, które się dokonały w ciągu dwudziestu czterech lat od jego powstania naniesione są w przypisach. Za przyjęcie do druku w „Studiach Warmińskich” przez Redaktora Naczelnego, księdza dr. Jana Guzowskiego, Rektora Wyższego Seminarium Duchownego Metropolii Warmińskiej „Hosianum” w Olsztynie, autor składa niniejszym serdeczne podziękowanie.

Wychowanie licznego potomstwa było zadaniem wymagającym wielkiej pracy i gospodarności. Część ojcowizny Julianny z Pausiów w Chynowie poszła pod cmentarz tworzącej się parafii, reszta została sprzedana. Za uzyskane pieniądze Antoni Wojtkowski zakupił gospodarstwo na Jeziorze i Goszczyniu. Był pionierem nowoczesnych metod uprawy roli. Jako jeden z pierwszych stosował nawozy sztuczne. Abonował czasopisma rolnicze. Synowi Franciszkowi dał gospodarstwo na Goszczyniu, Stanisławowi w Jeziorze, a córce Katarzynie kupił gospodarstwo w Mikstacie. Syna Bronisława posłał do szkoły gospodarczej, córki Elżbietę i Jadwigę wydał za mąż na Śląsk. Najzdolniejszemu Andrzejowi zapewnił wykształcenie wyższe.

Andrzej Wojtkowski urodził się w Jeziorze 18 listopada 1891 roku. Z obawy przed karą za spóźnione zgłoszenie noworodka w urzędzie stanu cywilnego podano datę o dwa dni późniejszą. Prawdziwa data urodzenia odnotowana jest w akcie Chrztu św. w parafii kotłowskiej. Dziecko było wątłego zdrowia, gdy więc doszło do wieku szkolnego, na okres jesienno-zimowy oddawano Andrzeja pod opiekę ciotki Elżbiety Gąsiorkowej w Przygodziczkach, gdzie uczył w szkole pan Mały. Nauka odbywała się w języku niemieckim, chociaż dzieci zupełnie go nie znały.

Andrzej był uczniem bardzo pilnym. Wychodził do szkoły wcześniej, żeby ślizgając się z kolegami po wszystkich rowach przydrożnych jednak nie spóźnić się na lekcje. Wiosną i latem mimo nauki musiał pomagać w gospodarstwie. Zaopatrzony przez matkę w chleb z „gzikiem” (twarogiem) pędził krowy na Goszczyn i tam godzinami płakał z osamotnienia i uczył się. Raz do pozostawionej na łące otwartej książki podeszła krowa i z ciekawości liźnęła kartę z wierszem zadany na jutro. Andrzej nauczył się wiersza z innej książki, a pan Mały odpytując, na próżno szukał go w książce, z której go zadał.

Po ukończeniu szkoły powszechnej w Przygodziczkach, po pierwszej Spowiedzi i Komunii św. w Kołowie, przysła kolej na gimnazjum klasyczne w Ostrowie, z zamieszkaniem w Konwicie Arcybiskupim, kierowanym wówczas przez ks. dr. Klichego, który oprócz obowiązków wychowawczych prowadził dla chętnych lekcje języka hebrajskiego. Tu młody Andrzej Wojtkowski nawiązał szereg dożgonnych przyjaźni z późniejszymi kapłanami wielkopolskimi. Duży i bardzo dodatni wpływ na młodszych kolegów wywierał Aleksander Kubik, późniejszy poseł na sejm, doktor prawa kanonicznego, proboszcz w Konojedzie i Chodzieży, zgilotynowany w Poznaniu na Młyńskiej przez hitlerowców. Rówieśnikiem był Tadeusz Gałdyński, późniejszy asystent Katolickiego Związku Abstynentów, zamęczony w Dachau. Młodszymi kolegami byli: ksiądz Czesław Michałowicz, zabity na forcje VII jako proboszcz parafii języckiej, oraz Andrzej Wronka, późniejszy profesor patologii i liturgii arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Poznaniu, administrator apostolski diecezji chełmińskiej i gdańskiej, biskup pomocniczy wrocławski. Z nim to Andrzej Wojtkowski kopał piłkę w zasłużonym klubie sportowym „Wenecja” w Ostrowie.

Gimnazjum ostrowskie stało na wysokim poziomie. Uczniowie mieli postawę bardzo patriotyczną. Chodząc na Mszę św. niedzielną do kościoła farnego nigdy nie śpiewali pieśni niemieckich, lecz nie mogąc śpiewać po polsku, wykonywali śpiewy łacińskie gregoriańskie i polifoniczne. Braki w zakresie języka polskiego i historii polskiej uzupełniali w tajnej organizacji, „Towarzystwie Tomasza Zana”.

Wielkie znaczenie miała wycieczka do Krakowa, której przewodnikiem był późniejszy profesor prehistorii na uniwersytecie poznańskim, Józef Kostrzewski.

Wybitne zdolności połączone z ogromną pilnością i pracowitością znalazły odbicie w świadectwie dojrzałości z samymi ocenami bardzo dobrymi, zdobytym w roku 1912, w dwudziestym pierwszym roku życia. Lata przeżyte w konwiktach ostrowskim przyniosły umocnienie w wierze, przypieczętowane Sakramentem Bierzmowania, na którym Andrzej Wojtkowski przyjął za patrona św. Franciszka Ksawerego, zamieniając się imionami ze swoim kolegą. Nie czując powołania do kapłaństwa, zamiast do Gniezna i Poznania utartym przez kolegów szlakiem, udał się do Berlina na wydział filozoficzny tamtejszego uniwersytetu, aby studiować filologię klasyczną, historię literatury polskiej i historię powszechną. Profesor Aleksander Brückner będąc niekiedy sam na sam ze swym studentem, prowadził zajęcia w języku polskim.

Ówczesny system studiów pozostawiał studentom wiele wolnego czasu. Andrzej Wojtkowski spędzał go najczęściej w bibliotece uniwersyteckiej na odczytywaniu się w interesujących dziedzinach. Zapisując się na uczelnię musiał podpisać deklarację, że w wypadku przynależności do tajnej organizacji zostanie natychmiast usunięty. Mimo to niezwłocznie włączył się w nurt pracy „Zetu”, prowadząc wykłady z języka polskiego i historii polskiej dla młodzieży rzemieślniczej, przybywającej do Berlina na naukę zawodu. Była to młodzież nadzwyczaj wartościowa, dzielna i patriotyczna. Zadzierzgnięta wówczas przyjaźń z późniejszym tapicerem gnieźnieńskim Zdrojewskim, działaczem abstynenckim, przetrwała próbę czasu i znalazła wyraz we wzajemnym trzymaniu dzieci do Chrztu św. Akademyści berlińscy nie potrafili przyjść z pomocą licznej emigracji zarobkowej z Polski, koczującej w pobliżu dworca. Zasyłane wówczas słowa: „Tam możesz mieć dziewczynę polską za 50 fenigów”, były stałym wyrzutem sumienia do końca życia z powodu grzechu opuszczenia: nieprzyjścia z pomocą.

Rozpoczęte studia po dwu latach przerwał wybuch pierwszej wojny światowej i wcielenie do armii niemieckiej w charakterze sanitariusza, z początku pobyt w szpitalu wojskowym w Żaganiu, a następnie w okopach we Francji. Cały czas w tornistrze wojskowym była książeczka *O naśladowaniu Chrystusa*, przypisywana Tomaszowi a Kempis, która podobno zbawiła więcej ludzi niż ma liter, a w literaturze wszechświatowej zajmuje drugie miejsce po Piśmie Świętym. Wspominając na tułaczce wojennej lasy, w których się wychował, Andrzej Wojtkowski opublikował w „Kurierze Poznańskim” w 1916 roku artykuł: *Życie lasów polskich w Panu Tadeuszu*. Za pierwszym artykułem poszły dwa dalsze, drukowane jeszcze podczas wojny: *Co robić po przeczytaniu książki* oraz: *Z chwili*, w „Przeglądzie Oświatowym” w latach 1917 i 1918.

Ranny w nogę, odznaczony krzyżem żelaznym za męstwo w zbieraniu rannych podczas natarcia, wrócił Andrzej Wojtkowski kompletnie wyczerpany, z nogami obtartymi w forsownych marszach odwrotu (400 km w ciągu tygodnia), w grudniu 1918 roku na Jezioro. Nie mógł wziąć bezpośredniego udziału w walkach Powstania Wielkopolskiego, lecz jako ochotnik wstąpił do armii powstańczej i w poznańskiej kompanii ochotniczej pod dowództwem kapitana Ciaciucha brał udział w walkach odsieczy Lwowa jako sanitariusz. Kompania została załadowana na pociąg z rampy dworca zachodniego przy budynku pocztowym w Poznaniu.

Dowódca został awansowany do stopnia oficerskiego z podoficera taborów armii niemieckiej. Po zakończeniu zwycięskich walk w czasie parady na lwowskim rynku zawrócił w prawą stronę i zwałił się na oczach rozentuzjowanego tłumu wraz z koniem.

Andrzej Wojtkowski nie brał udziału w wojnie 1920 roku, powołany do służby archiwalnej w Warszawie. Porządkując akta pookupacyjne znalazł na liście konfidentów pruskich jednego z komisarzy plebiscytowych na Warmii i Mazurach. Popelniając niedyskrecję pokazał ów dokument Andrzejowi Niemojewskiemu, który niezwłocznie opublikował go w „Myśli Niepodległej”. Skutki nie dały na siebie długo czekać. Konfident pruski został zwolniony ze stanowiska komisarza plebiscytowego, a niedyskretny archiwista przeniesiony ze stolicy do archiwum poznańskiego.

Zwierzchnikiem w Warszawie był przez pewien czas Marian Abramowski, archiwista objazdowy, były sybirak, chodzący w największe nawet mrozy w lekkiej pelerynie ku podziwowi warszawiaków. Zwierzchnikiem w Poznaniu był profesor Paczkowski. Praca archiwalna w Poznaniu umożliwiła ukończenie studiów historycznych na uniwersytecie poznańskim, uwieńczone w 1921 roku doktoratem napisanym u profesora Adama Skałkowskiego: *Polityka rządu pruskiego wobec Żydów polskich od roku 1793 do 1806*.

Gdy młody doktor otrzymał mieszkanie służbowe w budynku archiwum na Górze Przemysława, jego dotychczasową stancję u pani Kwietniewskiej przy ulicy Franciszka Ratajczaka zajęła Filonia Maria Staniszówna, urodzona w Łodzi 4 października 1895 roku, córka Teofila Stanisza, rodem z Kamieńska i Marii Wierzchowskiej z Piotrkowa Trybunalskiego, studentka ekonomii na uniwersytecie poznańskim, absolwentka pensji pani Jastrzębskiej w Rydze, nauczycielka z zawodu, najstarsza spośród dziesięciorga dzieci. Odwiedziny u dawnej gospodyni stały się okazją do zapoznania się dwojga młodych ludzi, a wreszcie w dniu 14 sierpnia 1923 roku do ślubu Andrzeja Wojtkowskiego z Filonią Staniszówną w kościele św. Marcina w Poznaniu. Małżeństwo sakramentalne, pobłogosławione przez starszego kolegę, ks. Aleksandra Kubika, dało życie czworgu spośród sześciorga upragnionych dzieci: Marii (1925), Julianowi (1927), Teresie (1932) i Róży (1933).

Młodzi małżonkowie niedługo mieszkali na Górze Przemysława. Względy dynastyczne zmusiły ich do podjęcia pracy w katolickim uniwersytecie ludowym ks. Antoniego Ludwiczaka w Dalkach koło Gniezna. Spośród słuchaczy największy rozgłos zdobył Stanisław Mikołajczyk, późniejszy poseł na sejm i premier. Część młodzieży przedostawała się do Dalek z terenów plebiscytowych, pozostających w Rzeszy Niemieckiej. Uniwersytet ludowy i jego wychowawcy byli wierni posłannictwu Wielkopolski, promieniującej polskością na tereny germanizowane. Nawet krótkie wizyty w Dalkach wystarczyły, by uświadomić na problem Mazurów i Warmiaków na całe życie, jak świadczył ks. kanonik Michał Słowikowski, wieloletni dyrektor gimnazjum biskupiego w Lublinie, poruszony rozmową w parku uniwersyteckim z Andrzejem Wojtkowskim.

Po urodzeniu się pierworodnej córki Marii, docenta w instytucie przemysłu drobnego i rzemiosła², młoda rodzina powróciła z Dalek do Poznania, zamieszkując

² Zmarła 23 lipca 1994 roku w Warszawie.

początkowo na Dębcu, skąd ojciec codziennie dojeżdżał do Biblioteki Raczyńskich, której został wicedyrektorem. Krótco przed urodzeniem syna Juliana, biskupa pomocniczego warmińskiego i profesora teologii, rodzina z Dębca przeniosła się na stare miasto, do magistrackiej kamienicy przy ulicy Rybaki 18, naprzeciw szkoły budowlanej. W następnym, 1928 roku, po przejściu na emeryturę dyrektora Bederskiego, Andrzej Wojtkowski objął stanowisko dyrektora Biblioteki Raczyńskich, które piastował aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Obok nurtu pracy zawodowej płynął nurt pracy naukowej. Wyjazd służbowy do Lozanny w 1922 roku celem przejęcia, spakowania i wysłania do Polski archiwum Agencji Lozańskiej, tragicznie zniszczonego potem na skutek działań wojennych. W dwa lata później wyjazd naukowy wraz z żoną do zbiorów w Rapperswilu. W 1928 roku udział w międzynarodowym kongresie historycznym w Oslo. W tym samym roku ukazała się obszerna, licząca 450 stron monografia: *Historia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu*. Rok później jeszcze obszerniejsza, 553 stronicowa monografia *Edward Raczyński i jego dzieło*, wydana w Poznaniu, stała się wraz z poprzednią podstawą przewodu habilitacyjnego, zakończonego w czerwcu 1930 roku zdobyciem stopnia docenta historii nowożytnej ze szczególnym uwzględnieniem historii Ziem Zachodnich.

Odtąd do obowiązków bibliotekarskich doszły uniwersyteckie zajęcia dydaktyczne, walcząc o lepsze z obowiązkami rodzinnymi, społecznymi i osobistą pracą naukową. Andrzej Wojtkowski lubił żartobliwą definicję: „Kto to jest bibliotekarz? To jest ten, który pilnuje książek. A kto to jest bibliofil? To jest ten, przed którym bibliotekarz pilnuje książek.” Będąc bibliotekarzem nie chciał stać się przysłowiowym „psem pilnującym siana, który sam nie zre, a krowie nie da”. Za swój święty obowiązek uważał udostępnienie szerokim zastępom badaczy wszelkich materiałów do historii Wielkopolski. Stąd powstał gigantyczny wysiłek jednoosobowego opracowania i wydania *Bibliografii Historii Wielkopolski*, ukazującej się zeszytami w subskrypcji aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Jako docent uniwersytetu poznańskiego Andrzej Wojtkowski otoczył swych słuchaczy tak troskliwą opieką, że zyskał wśród studentów pieśczośliwy przydomek „Nasza kwoka”. Ćwiczenia z historii Wielkopolski prowadził w Bibliotece Raczyńskich, jako najlepszym warsztacie naukowym dla tej dziedziny. Brali w nich udział nie tylko młodzi akademicy, ale i absolwenci zainteresowani historią Wielkopolski, jak na przykład pan dr Fiedler, który zrobił maturę w Ostrowie w roku urodzenia się Andrzeja Wojtkowskiego, a potem korzystał z jego pomocy przy pisaniu rozprawy doktorskiej.

Mimo pracy zawodowej bibliotekarskiej, zajęć uniwersyteckich, pracy nad *Bibliografią Historii Wielkopolski*, Andrzej Wojtkowski opublikował do wybuchu drugiej wojny światowej 391 pozycji własnych, większych i mniejszych. Na opracowanie zebranych materiałów do monografii o Karolu Libelcie nie starczyło już czasu. A przecież miał także obowiązki wobec powiększającej się rodziny, które traktował równie poważnie. W roku drugim i trzecim po habilitacji urodziły się córki: Teresa, doktor inżynier chemii w instytucie ceramiki użytkowej³, oraz Róża, profesor nauk medycznych z zakresu toksykologii w instytucie higieny pracy.

³ Zmarła w Pruszkowie 1 września 1985 roku.

Nic dziwnego, że dzieci nigdy nie pamiętały ojca kładącego się spać. Udawał się na spoczynek zawsze po północy, nierzadko o godzinie drugiej lub pół do trzeciej.

Tajemnicą jego siły było głębokie życie wewnętrzne. Nie będąc nigdy „elsem”, przez całe życie dochował pozwórnnej abstynencji. Codziennie odmawiał różaniec, a od roku 1935 także codziennie przyjmował Komunię św. Każdego wieczora brał udział w rodzinnym pacierzu przed obrazem Najświętszego Serca Pana Jezusa, któremu rodzinę swą poświęcił. Do spowiedzi przystępował co pierwszy piątek, zwykle w którymś z kościołów zakonnych: u jezuitów, franciszkanów lub salezjanów. Dzieci chodziły do spowiedzi co tydzień, w sobotę.

Praca społeczna obejmowała członkostwo Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Polskiego Towarzystwa Historycznego, Towarzystwa Miłośników Historii, prezesurę Katolickiego Stowarzyszenia Abstynentów na całą Polskę, Katolickiego Stowarzyszenia Mężów w parafii Bożego Ciała w Poznaniu, wreszcie w ostatnich latach przed wybuchem drugiej wojny światowej Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej na archidiecezje Gnieźnieńską i Poznańską. Przechodząc z Akcji Katolickiej parafialnej do archidiecezjalnej otrzymał w darze Mszał Rzymski łaćniśko-polski, wydany przez opactwo benedyktyńskie św. Andrzeja w Zevenkerken (Bruges). Stał się on szkołą modlitwy liturgicznej, wiernym towarzyszem doli i niedoli na resztę życia.

Wiadomość o wybuchu drugiej wojny światowej zasłyszana w drodze powrotnej ze spowiedzi pierwszopiątkowej została brutalnie potwierdzona zaraz pierwszego dnia wojny. Podczas pierwszego nalotu niemieckich bombowców na Poznań, prowadzonego na wysokości 4000 m, bomba przeznaczona dla zajętej przez mobilizację szkoły budowlanej, rozbiła jedną z sąsiednich kamienic przy Rybakach. Byli zabici i ranni. Dwie inne bomby, wycelowane w niemieckie gimnazjum imienia Fryderyka Schillera, zajęte także przez wojsko, uszkodziły zakrystię i dom parafialny przy kościele Bożego Ciała. Obawiając się dalszych nalotów na obiekty wojskowe Andrzej Wojtkowski przeniósł chwilowo rodzinę do Biblioteki Raczyńskich, przewidując, że nie będzie bombardowana. Sam po dniach nalotów, wycofaniu się wojska polskiego i zniszczeniu mostów na Warcie, podporządkował się rozkazowi rozlepionemu na słupach ogłoszeń i wyszedł na wschód, bezskutecznie starając się w powiatowych komendach uzupełnić o przyjęcie do wojska. Jako sanitariusz zgłosił się na ochotnika do szpitala w Kutnie, po jego zbombardowaniu przez Niemców, mimo wyraźnych emblematów czerwonego krzyża na dachach, draśnięty odłamkiem w głowę poszedł dalej w kierunku Warszawy, podziwiając polskich kolejarzy, bohatercko naprawiających zniszczone tory, aby przepuścić pociągi ewakuacyjne. Gdy pierścień niemiecki wokół Warszawy się zamknął, ogarnięty przez Niemców Andrzej Wojtkowski powrócił do Poznania i tu po raz pierwszy w życiu rozplakał się przy dzieciach.

Nastaly dni niepewności. Podczas nieobecności Andrzeja Wojtkowskiego, zaraz po zajęciu Poznania przez Niemców, przyszedł do mieszkania gestapowiec w towarzystwie członka straży obywatelskiej. Na szczęście przewidująca pani domu zdążyła zawczasu usunąć album zdjęć ze zlotu Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej w Poznaniu. W sekretariacie archidiecezjalnym była kartoteka druhów KSMM, zgłaszających swą gotowość do obrony Ojczyzny. Biuro zostało opieczętowane przez gestapo. Sekretarz Witalis Dorożała, ranny podczas walk,

leżał w Milanówku k. Warszawy z wyszarpniętymi mięśniami pleców. Archidiecezjalnemu asystentowi KSMM, ks. Michalskiemu, udało się z narażeniem życia wynieść niebezpieczną kartotekę z biura: Niemcy papierową plombą skleili listwę drzwi nie z futryną, lecz z drzwiami. Mimo otwarcia drzwi plomba pozostała nieszkodzona. Bohaterstwo kapłana nie na wiele się zdało, gdyż oryginał kartoteki wpadł w ręce gestapo w starostwie grodzkim.

Bibliotekami poznańskimi z ramienia okupanta zajmował się dr Zürich. Wezwał on pracowników na odprawę i zapowiedział, że po upływie trzech miesięcy, na które otrzymali pensje w dniu 1 września 1939 roku, będą zwolnieni z pracy. Gestapo przeprowadziła rewizję. Gabinet dyrektora Biblioteki Raczyńskich rewidował agent nazwiskiem Jochimski, który krótko przed wojną zrobił magisterium na uniwersytecie poznańskim, jako Ślązak zza kordonu granicznego. Swemu promotorowi powiedział — oczywiście po niemiecku, mimo iż świetnie władał językiem polskim — „Niech się pan cieszy, że to ja prowadziłem rewizję!”

Wieczorem 8 listopada 1939 roku, po godzinie policyjnej, cała rodzina siedziała razem w jadalni, słuchając wspomnień gimnazjalnych i oglądając notatki uniwersyteckie z Berlina. Wtedy właśnie rozległ się ostry dzwonek do drzwi i uderzenia kolbami. Wkroczyło czterech żandarmów pod dowództwem wachmistrza. Stąpali z karabinami naprzeciw siebie. Wachmistrz podając do wiadomości rozkaz wysiedlenia, dwukrotnie zapytał: „Czy pan jest Volksdeutschem?” Andrzej Wojtkowski dwukrotnie twardo odpowiedział: „Nie!” Wyznaczone na spakowanie podręcznego bagażu 20 minut wydłużyło się. Wachmistrz nie mógł sobie dać rady z likwidacją książeczek oszczędnościowych: każde dziecko miało swoją. Jeden z pilnujących żandarmów poradził zabrać pończochy: dzieci było czworo od 6 do 14 lat. W końcu cała rodzina została wyprowadzona na chodnik i przewieziona do obozu na Główniej⁴, w magazynach amunicyjnych z czasów pierwszej wojny światowej. Część baraków była murowana, jeden wielki, z rampą kolejową w środku, był drewniany. Część była piętrowa, część parterowa. Ciepłej było w murowanych, niż w drewnianym, na piętrze, z drewnianą podłogą, niż na betonie parteru. Ogólnie było zimno. Do mycia się służyły koryta na dworze przy hydrantach. Latryny były przy zasiekach z drutów kolczastych, strzeżonych przez wartowników na wieżach, oślepiających ruchomymi reflektorami więźniów w porze nocnej. Wojskowe kuchnie polowe nie mogły nastarczyć z gotowaniem samej nawet kawy, a cóż dopiero tak zwanej zupy. Sytuacja poprawiła się z chwilą wybudowania stałej kuchni, ale gdyby nie paczki i żywność dokupywana przez druty kolczaste, głód byłby jeszcze większy.

W obozie byli profesorowie i docenci uniwersytetu poznańskiego: Winiarski, Błachowski, Meyer, Ułaszyn, Sobeski. Krótko przed transportem przybył zwolniony spośród zakładników profesor Tymieniecki. Czas jakiś przebywał także ksiądz Gieburowski, potem zabrany w niewiadomym kierunku. Profesorowie rozpoczęli powszechne wykłady uniwersyteckie. Podtrzymaniem była wspólna modlitwa na apelu porannym i wieczornym. Syn pastora ewangelickiego z polskiej parafii przy ulicy Ogrodowej, młody maturzysta Manitius, modlił się wraz z katolikami, odmawiając *Ojcze nasz* i *Wierzę w Boga*. Podczas *Zdrowaś Mario*

⁴ Lager Głowno. Posen-Ost.

milczał, stojąc w postawie pełnej uszanowania. Ojciec jego jako kapelan wojskowy był w tym czasie w oflagu.

30 listopada 1939 roku, w dniu obozowych imienin Andrzeja Wojtkowskiego, na teren obozu wepchnięto tyłem trzy pociągi. Każdy składał się z kilku wagonów osobowych dla chorych i 30 wagonów bydłowych, których wyposażenie stanowiło wiadro na mocz, latarnia ze świecą, i dwa baloty prasowanej słomy. Skład pierwszego transportu zajmował tor wchodzący do baraku IV dla mężczyzn. Podczas podstawiania na łuku torów ostatni wagon wywalił wrota drewnianego baraku i omal nie przewrócił rozpalonego pieca. Do wagonów pierwszego transportu, trzeba było iść przez wagony dwóch transportów następnych. W obozie nastąpił sądny dzień. Rakiety oświetlające, rewizje osobiste przeprowadzane przez „Hitlerschwester” na wybranych kobietach, upychanie trzydziestukilku osób z bagażami do poszczególnych wagonów, porcje chleba, wiadro kawy zbożowej, zasuwanie drzwi, wreszcie „Los!” i odjazd w nieznaną. Pierwszy transport dojechał najdalej, bo do Lublina, drugi do Dębina, trzeci tylko do Warszawy, zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem do Kraśnika. Po zmianie decyzji na Ostrowiec Świętokrzyski porządek był odwrotny: transport trzeci przybył jako pierwszy, a pierwszy dopiero w dniu 4 grudnia, przez Warszawę, Częstochowę i Skarżysko-Kamienną, jako ostatni.

Straż transportu stanowiła policja pomocnicza złożona z Volksdeutschów w cywilnych ubraniach, z opaskami „Hilfspolizei” na ramieniu, uzbrojonych w karabiny. Na dłuższych postojach otwierali drzwi wagonów i pozwalali więźniom wyjść na otoczony strażą teren, aby oddać kał. Sami nie byli przygotowani na tak długą podróż, zaroińceni, brudni, rozdrażnieni. Jeden z nich chciał zmiażdżyć głowę Andrzejowi Wojtkowskiemu zasuwając znieczuła ciężkie, okute stalą drzwi wagonu. Inny w mundurze żandarma już w Ostrowcu kazał płukać wiadome kubły. W wagonach było zimno, nie było co jeść, ani pić. Od czasu do czasu, gdy postój wypadł na stacji, można było kupić trochę żywności lub herbaty. Niespodziankę zrobili Żydzi w Radomsku. Przynieśli na rampę kotły z ciepłą zupą, gęstą, z kawałkami gęsiny. Na znak dany przez starszyzną żydowską młode Żydówki podbiegły do wagonów i szybko warząchwiami przelały zupę do wyciągniętych miseczek i menażek. Potem równie prędko odbiegły z pustymi kotłami.

W Ostrowcu Świętokrzyskim burmistrz Mrozowski, potem zamordowany przez Niemców, robił wszystko, aby trzem tysiącom wysiedleńców zapewnić schronienie i posiłek. Z pomocą pośpieszyło społeczeństwo miasta i okolicy. Po zdjęciu wart podwoły rozwoziły wysiedlonych z terenu dworca kolejowego. Andrzej Wojtkowski z rodziną dostał się do szkoły powszechnej naprzeciw kościoła Serca Pana Jezusa przy hucie. Jednak już po kilku minutach przyjechał do szkoły bryczką profesor Meyer szukając, czy nie ma kogoś z uniwersytetu. Spotykając znajomego sobie docenta Andrzeja Wojtkowskiego, zabrał go wraz z rodziną do fabryki cegły szamotowej Władysława Klepackiego, położonej w widłach szos do Ćmielowa i Opatowa. Tam w domu ogrodnika rodzina zajęła izbę 4×4 m i jeszcze mniejszą kuchenkę. Pierwszy normalny obiad: barszcz buraczkowy z ziemniakami, kotlet mielony, przysłany przez gościnnych fabrykantów, nie dał się zjeść. Po kilku łykach nieobozowej zupy wystąpiło poczucie sytości, na drugie danie żołądek odpowiedział bólem.

Zima była bardzo ostra, jedynym opałem drewno kupowane na targu, po co raz droższych cenach. Zakupy żywności dla licznej rodziny szybko wyczerpywały skromne oszczędności. Ważną pomocą był gesty krupnik z kawałkami mięsa i pozakartkową porcją chleba, wydawany wysiedleńcom przez kuchnię pani inżynierowej Dąbkowskiej z zakładów ostrowieckich. Na domiar złego Niemcy ogłosili epidemię tyfusu i zamknęli kościoły. Andrzej Wojtkowski mimo zakazu docierał przez zakrytą do wnętrza drewnianego kościółka Serca Pana Jezusa. Dla reszty rodziny jedyną pociechą była wspólna modlitwa pod przewodnictwem ojca z mszalika łacińsko-polskiego, zwłaszcza krzepiące słowa hymnu z wieczornej komplety: *Ciebie, zanim noc nastanie, prosim Stwórco wszystkich rzeczy, byś nas w swej dobroci Panie, jako Ojciec miał w swej pieczy*. Otuchy dodawały „wiadomości”. Celowała w nich zasłużona bibliotekarka Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, pani Aniela Koehlerówna. Były zawsze bardzo pocieszające. Nigdy się nie sprawdzały, ale otucha i radość przeżyte, nie mogły być już odebrane. W starej bibliotece po ojcu właściciela fabryki znalazły się dzieła Tacyta, dostarczając fascynującej lektury ojcu. Starsze dzieci zaczęły się uczyć. W porę przyszła pomoc finansowa z Zachodu. Napłynęły wiadomości, jak przeżyła wojnę reszta rodziny. Na dalszą metę brak jednak było środków zabezpieczających byt, co ogromnie dręczyło ojca poczuciem niepotrzebności.

Ratunkiem od klęski i śmierci stało się zaproszenie przez Księstwo Krzysztofa i Zofię Radziwiłłów, Senatora Rzeczypospolitej i jego małżonkę, do Sichowa w powiecie stopnickim. Najpierw podróż rozstawnymi końmi w dniu 28 maja 1940 roku, potem trzy miesiące życia wiejskiego w drewnianym domu dawnego plenipotenty, mieszczącym kaplicę i klasztor Sióstr Służek Maryi Niepokalanej z Mariówki, dobrze zaopatrzoną spiżarnią, codziennie litr pełnego mleka na osobę. To był powrót do zdrowia i sił. Sichów był wówczas pełen profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, co dopiero wypuszczonych z obozu w Oranienburgu-Sachsenhausen k. Berlina: ksiądz rektor Konstanty Michalski CM, profesorowie Jan Dąbrowski, Tadeusz Estreicher, Tadeusz Szydłowski, powoli powracali do życia. Obowiązki kapelana spełniał młodziutki ks. Wiktor Kasprzak z archidiecezji gnieźnieńskiej. Ks. Konstanty Michalski odprawiał codziennie wotywę maryjną z mszału dla kapłanów z osłabionym wzrokiem. Andrzej Wojtkowski rozpoczął lekcje języka niemieckiego z młodymi Radziwiłłami, poznał historyczne Rytwiany i Kurozwęki.

Cios przyszedł całkiem niespodziewanie. Przyjechała gestapo, legitymując wszystkich przybyśzów, nakazując im natychmiastowe opuszczenie Sichowa. Para księżęca została aresztowana i wywieziona do dwu różnych obozów koncentracyjnych. Księżna Zofia do Ravensbrück, Księżę Krzysztof ostatecznie do obozu na Majdanku. Pięcioro dzieci pozostało pod opieką swej ciotki, mgr Jadwigi Popielówny z Kurozwęk i księdza rektora Konstantego Michalskiego. Andrzej Wojtkowski znalazł z rodziną schronienie na wikariacie parafii w Koniemłotach, dzięki dobroci księdza proboszcza Jana Chołoińskiego i wikariusza Czesława Strzyża. Proboszcz był zwalonym mężczyzną o niepospolitej sile. Nie przestawił zegara na rozkaz Niemców. Zapowiadał co roku, że nowy chleb będzie w nowej Polsce. Całą wojnę miał radio i służył wiadomościami. W chwilach ciężkich obaj z Andrzejem Wojtkowskim zapamiętali rąbali drzewo, całymi godzinami nie mówiąc do siebie ani słowa.

Zima 1940/1941 roku była bardzo ostra, a zwłaszcza śnieżna. Wysiedleńcom na wikariacie pomagał nie tylko sam proboszcz, ale i wierni. Z dworu sichowskiego co miesiąc przychodził kosz z żywnością. Nadleśniczy dał dwa metry sześciennie drewna na opał z lasów grzybowskich, późniejszego zagłębia siarkowego. Pomagali nauczyciele, państwo Cepielowie, rodzice zamężonego w Dachau księdza Karola Cepiela z diecezji kieleckiej. Pomagał sekretarz gminy Skiba, którego synowie przychodzili na lekcje łaciny. Pomagali państwo Zajdowie z Sielca i żona tamtejszego duchownego kalwińskiego, pułkownika — kapelana Wojska Polskiego, przebywającego w oflagu, pani Schaeferowa. Z każdego wypieku jeden bochenek chleba przynosił gospodarz Wach z Kolonii Koniemłoty, codziennie przychodzący do kościoła ze skraju lasu pod Adamówką.

Starsze dzieci uczyły się, młodsze wobec zagrożenia przygotowane zostały do pierwszej spowiedzi i Komunii świętej. Andrzej Wojtkowski pozbawiony warsztatu naukowego pisał z pamięci historię Polski, chcąc się przekonać, na ile ją zna. W momencie szczególnego niebezpieczeństwa oddał rękopis wykonany na kartkach formatu zeszytowego, złożony w torebce płóciennej od „tamponów przeciwgazowych”, które przygotowywało się w Polsce przedwrześniowej, na przechowanie księdzu Janowi Chołoińskiemu, który złożył go wraz ze swoim największym skarbem, strzelbą myśliwską, w niszy nad lewą boczną nawą kościoła. Mimo iż w pracy uniwersyteckiej powojennej notatki te bardzo by się przydały, nigdy nie doszło do ich odszukania.

Do Koniemłot przyszedł pieszo przez lasy z Rytwian Leon Żółtowski z Czacza, poradzić się w pisaniu artykułu o Adamie Żółtowskim do Polskiego Słownika Biograficznego. Te prace z myślą o Polsce Niepodległej były sprawdzianem hartu ducha i wzmacniały wolę przetrwania. Ostoją duchową była modlitwa w domu, codzienna Msza św. i Komunia św. Spowiedź połączona z podziwem, jak młody wiejski wikariusz umie zawsze znaleźć trafną odpowiedź na problemy duszy, urobionej przedwojennymi rekolekcjami zamkniętymi w Goli, czy Niechanowie, głoszonymi przez najwybitniejszych kierowników duchowych, księdza Aleksandra Żychlińskiego czy księdza Kazimierza Józefa Kowalskiego, późniejszego biskupa chełmińskiego.

Od 1 lutego 1941 roku Andrzej Wojtkowski objął posadę tłumacza i sekretarza w sichowskiej dyrekcji folwarków, przewożąc rodzinę na opuszczone w sierpniu miejsce w domu z kaplicą. Aby uniknąć wywiezienia do Niemiec na roboty, starsze dzieci podjęły pracę w tym biurze w wieku lat 17 i 15, jednocześnie ucząc się i zdając egzaminy w zakresie szkoły średniej przed tajną komisją egzaminacyjną gimnazjum w Staszowie: dyrektorem Stefanem Kopczyńskim, księdzem prefektem Czesławem Nagrodkiewiczem, polonistką Nowogradzką, historykiem Mazurem, germanistą Ościkiem i matematykiem Wołoszynowskim ze Sroczkowa. Najstarsza córka, która przed wojną ukończyła dwie klasy w gimnazjum Królowej Jadwigi, w czasie wojny złożyła maturę. Syn, który przed wojną złożył egzamin do gimnazjum imienia Bergera, zrobił w czasie wojny małą maturę. Ojciec uczył łaciny, przedmiotów matematycznym matka, literatury polskiej i języka niemieckiego ksiądz Konstanty Michalski, który po przeniesieniu na rozkaz Niemców Księżnej Zofii Radziwiłłowej, uwolnionej z Ravensbrück, do Słupi wraz z dziećmi, przeniósł się do budynku z kaplicą, której kapelanem stał się od chwili przeniesienia księdza Wiktora Kasprzaka do Szczeglic.

Andrzej Wojtkowski uważał za szczególną łaskę mieszkanie z Panem Jezusem pod jednym dachem w trudnych czasach wojennych. Gdy podczas przegrupowań wojsk niemieckich przed uderzeniem na ZSRR kaplica, kapelan i wszyscy mieszkańcy musieli przenieść się do ciasnego mieszkania kierowcy nad stajniami, przechowywanie Eucharystii stało się niemożliwe, ale była codzienna Msza i Komunia św. Udział we Mszy św. był niemal posoborowy, na skutek utraty wzroku podczas badań mediewistycznych przez księdza rektora Konstantego Michalskiego. Trzeba było czytać teksty liturgii słowa, nieraz przytaczać wybrane uprzednio urywki podczas kazania. Czynił to przeważnie ojciec, syn służył do Mszy Świętej, zastępując wzrok celebransowi, matka grała na harmonium.

W ciągu dnia trzeba było czytać na głos wybrane urywki z książek. Andrzej Wojtkowski czytał w obcych językach, starsze dzieci i matka przeważnie po polsku, lecz także w języku niemieckim i łacińskim, co było okazją do głośnego poprawiania akcentów. Ojciec z matką na przemian pisali pod dyktando fragmenty powstającego wówczas dzieła filozoficzno-teologicznego *O miłości Bożej*, którego część ukazała się drukiem pod zmienionym tytułem *Między heroizmem a bestialstwem*. Podczas lektury padały rozkazy: zrób czerwoną kreskę, niebieską kreskę itp. Ten obrazowy sposób analizowania tekstów bardzo się przydał w badaniach historyczno-dogmatycznych nad mariologią w Polsce średniowiecznej.

Ksiądz Konstanty Michalski całym sercem oddał się pracy duszpasterskiej. Godzinami spowiadał, był wytrawnym kierownikiem duchowym. Głosił kazania półtoragodzinne do prostego wiejskiego ludu, który stał zasluchany, mimo iż poziom był całkowicie ponad ich głowami. Przez kilka lat wojennych w cyklu kazań o Sakramentach Świętych kaznodzieja doszedł bodaj do Eucharystii, tyle miał do powiedzenia o sakramentach wtajemniczenia chrześcijańskiego, zwłaszcza o bierzmowaniu i darach Ducha Świętego. Ofiarnie chodził do chorych i umierających, podziwiał pogodę i gotowość na śmierć młodych ludzi, umierających na czerwonkę. Dbał o wyposażenie i wystrój kaplicy, z dużym poczuciem smaku estetycznego. Odchodząc w czasie frontu powiedział ludziom w słowach pożegnalnych, że lata posługi kapłańskiej w Sichowie uważa za najpiękniejsze w swoim życiu. Światowej sławy naukowiec, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Polskiej Akademii Umiejętności, promieniująca na całą Polskę wybitna postać naukowego i kulturalnego życia z Krakowa.

Ilekcję Andrzej Wojtkowski szedł do miasta Staszowa, zachodził do sklepu Milgrauma, w którym pracował brat księdza kanonika Leona Formanowicza, autora katalogu inkunabułów biblioteki kapitulnej w Gnieźnie, najlepszego w Polsce przedwojennej. Wiadomości były coraz gorsze: aresztowanie, obóz, śmierć. Z kolegów gimnazjalnych kapłanów zginęli po kolei wszyscy, z wyjątkiem księdza Kasprzaka, przed wojną proboszcza w Doruchowie, w którym spalono ostatnią w Wielkopolsce czarownicę. W Ameryce Południowej przeżył wojnę ksiądz Wiertelak, wspominany ze względu na zaciętą walkę, jaką toczył będąc uczniem gimnazjum ostrowskiego z jednym z profesorów. „Słodką ironią Opatrzności” spowodowała, że nie kto inny, lecz on właśnie przygotowywał swego profesora na śmierć i na zawsze pozostał pod wrażeniem głębokiej wiary, prostoty i pokory, z jaką umierający profesor jednał się z Bogiem w rękach swego czupurnego niegdyś ucznia.

Sichów leżał na terenie działalności grupy partyzanckiej „Jędrus”. Jej założyciel i dowódca, profesor gimnazjalny z Mielca, został wytropiony i zastrzelony przez agenta tarnowskiej gestapo Andrzeja Röslera, kościelnego zboru kalwińskiego w Sielcu. Nie pożył on długo. Wyrok został wykonany na szosie między Rytwianami a Staszowem. Represji bezpośredniej po zgładzeniu krwawego kata miejscowej ludności nie było. Natomiast całą swą wściekłość wyładowały oddziały SS i SD na wsi Strużki w rejonie koncentracji grupy. Wieś została spalona doszczętnie. Pozostał tylko murowany i kryty blachą urząd gminny. Jednego popołudnia zginęło 96 osób. Z Sichowa dobrze widoczny był w kierunku północno-wschodnim tragiczny słup czarnego dymu płonącej wsi i dolatywały ciche odgłosy strzelaniny. Wieść o rozmiarach klęski nadeszła później.

Tragiczny był los żydowskich mieszkańców Staszowa. Gdy zostali zamknięci w getcie, Andrzej Wojtkowski posyłał krawcowi należność za kupiony płaszcz najpierw przez syna do getta. Gdy stary krawiec wraz z żoną i córkami został wywieziony, a raczej popędzony piechotą do Szczucina, a stamtąd powieszony na śmierć do Oświęcimia, sam osobiście resztę należności zaniósł zachowanemu do czasu przy życiu w niemieckich warsztatach młodemu krawcowi, synowi zgładzonego. Ta uczciwość i poczucie sprawiedliwości wzruszyły głęboko serce człowieka, prześladowanego przez obłądną nienawiść rasową.

Tragiczną śmiercią w Stutthofie zginął kolega z uniwersytetu berlińskiego, pan Hoffmann. Studiował historię, chociaż na maturze właśnie z historii miał ocenę niedostateczną. Był ateistą. Po ukończeniu studiów pracował w archiwum poznańskim i tu pod wpływem koleżanki, pani Sobierajskiej, nawrócił się, a potem zawarł z nią małżeństwo. Młoda para wyjechała do Chojnic, w związku z nominacją na dyrektora gimnazjum, potem na analogiczne stanowisko przeniosła się do Nowego Miasta Lubawskiego. Z trojga dzieci syn został po wojnie kapłanem, córki poszły w ślady rodziców, kończąc studia i pracując w szkolnictwie. Matka nie przeżyła wiadomości o śmierci męża. Dzieci zostały sierotami.

Rzadko kiedy przychodziły znaki życia od osób uważanych za nieżyjące. Pisał listy z Francji Tadeusz Grygier, uzdolniony student historii na uniwersytecie poznańskim, rodem z Grudziądza. Nie mogąc wrócić na Pomorze ukrywał się w Poznaniu i przychodził do swego profesora na obiady, wraz z dyrektorem biblioteki kórnickiej profesorem Stanisławem Bodniakiem, który uniknąwszy rozstrzelania nie mógł jednak dłużej przebywać w miejscu swego zamieszkania. Przychodzili na obiady do dnia, w którym na drzwiach znaleźli zielony pas papieru z pieczęciami władz policyjnych. Obaj ocaleli. Tadeusz Grygier powrócił w końcu do Grudziądza i pracował w porcie przy ładunku barek. Należał do organizacji niepodległościowej. Gdy Niemcy dali do wyboru wstąpienie do wojska, albo rozstrzelanie, za zgodą władz konspiracyjnych zaciągnął się do Wehrmachtu w stopniu porucznika i współpracował z podziemiem najpierw w Belgii, potem we Francji, przy przerzutach osób „spalonych” do Anglii. Aresztowany, przewieziony na Pomorze i zdegradowany, został w Gdańsku skazany na śmierć. Z przestrelonymi podczas ucieczki płucami ukrył się w baraku wojsk włoskich i tu doczekał wyzwolenia. Pracował w archiwum wojewódzkim w Olsztynie jako najstarszy stażem archiwista w Polsce, gdyż rozpoczął pracę w archiwum Dowództwa Okręgu Korpusu VII w Poznaniu na dwa lata przed wojną⁵.

⁵ Zmarł w Olsztynie 9 czerwca 2000 roku. Nekrolog, *Postaniec Warmiński* 12(2000), s. 10.

Przymusowy pobyt w ziemi sandomierskiej był dla Andrzeja Wojtkowskiego mimo swego koszmaru spotkaniem z najbardziej rdzenną częścią Polski, co spostrzegł już Stefan Żeromski. Podziwiał więc czystość języka polskiego, wolnego od germanizmów i rusycyzmów. Pisząc ludziom bezpłatnie podania w języku niemieckim usłyszał raz podziękowanie: „za taką pocztę”, w najbardziej staropolskim znaczeniu, z ust gospodarza nie umiejącego ani czytać, ani pisać, nie znającego języka dziennikarskiego i literackiego. Długie godziny rozmawiał z przedwojennym działaczem Rogalą, dyskutował z głęboko religijnym parafianinem Bakiem.

Gdy Sichów objęty przyczółkiem pod Baranowem, znalazł się nieopodal linii frontu, cała ludność została ewakuowana nad Wisłę w sierpniu 1944 roku. Andrzej Wojtkowski z rodziną przeniósł się do Szwagrowa w parafii Tursko, gminie Strużki, zamieszkując przypadkowo u rodziny badaczy Pisma Świętego. Pomagał im orać w polu. Chodził do kopania okopów pod kierunkiem żołnierza radzieckiego, inwalidy. We wrześniu dotarł z najstarszą córką do Lublina i zgłosił się u księdza rektora Antoniego Słomkowskiego do pracy w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Zapytany o referencje odpowiedział, że jego nazwisko figuruje w spisie duchowieństwa archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej, na stanowisku prezesa Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej. Usłyszał w odpowiedzi natychmiastowe: „To mi wystarcza”. Otrzymał katedrę historii nowożytnej w charakterze zastępcy profesora. Córka Maria zapisała się zaraz na wydział nauk społeczno-ekonomicznych. Cała rodzina przyjechała do Lublina, syn poszedł do liceum matematyczno-fizycznego, młodsze córki do szkoły podstawowej. Na pierwszym wykładzie ojca były także starsze dzieci: dotyczył parlamentów francuskich. Z krótką wizytą przyjechał na KUL i wygłosił powszechny wykład uniwersytecki ksiądz rektor Konstanty Michalski, oczekujący na wyzwolenie Krakowa w Sandomierzu, u księdza biskupa Jana Lorka CM, współbrata ze zgromadzenia księży misjonarzy.

Aby nie robić konkurencji profesorowi historii nowożytnej KUL Aleksandrowi Kossowskiemu, Andrzej Wojtkowski rozszerzył w 1945 roku habilitację na historię kultury, objął tę katedrę i uwyzyczałnił się. Przedtem jednak zapadła decyzja, że nie wróci do Poznania. Nie przyszła ona łatwo, wobec związków z Wielkopolską poprzez urodzenie, wychowanie, pracę niepodległościową, studia, pracę naukową, społeczną. Gdy po pierwszym roku pracy na KUL przybył do Poznania zabrać ocalałe meble, nie znalazł nawet szczątków swego warsztatu naukowego. Ocalało kilkanaście, czy kilkadziesiąt, tomików „Biblioteki Narodowej” w podziemiach kościoła na Śródcie. W archiwum na Górze Przemysława spaliły się materiały do Bibliografii Historii Wielkopolski i do monografii o Karolu Libelcie. Niemcy chcieli bibliografię kontynuować, wydostali ją z mieszkania zajętego przez jakiegoś „Bałyckiego Niemca”. Wyznaczyli do pracy przy bibliografii jedną z bibliotekarek. Gdy ta nie umiała sobie dać rady, postanowili szukać autora przez Arbeitsamt w Generalnym Gubernatorstwie. Nikt z Polaków znających adres nie zdradził miejsca pobytu Andrzeja Wojtkowskiego. Był poszukiwany kilkakrotnie przez gestapo na podstawie różnych list proskrypcyjnych. Gdy zbliżał się front wszystkie kartki bibliograficzne, wykonane na ścinkach introligatorskich, poukładane w używanych kopertach, zostały zapakowane do skrzyni, skrzynia zamknięta

i opatrzona odpowiednim napisem spaliła się w pożarze gmachu podczas oblężenia miasta. Ostatnim gwoździem do trumny stał się widok wypalonych murów Biblioteki Raczyńskich. Andrzej Wojtkowski powstał chwilę w Alejach Marcinkowskiego i odszedł, nie mogąc patrzeć. Postanowił do Poznania nie wracać.

Tym gorliwiej włączył się w pracę na KUL. Oprócz zwykłych zajęć profesorskich przez pięć lat był dyrektorem biblioteki uniwersyteckiej, przez dziewięć lat sekretarzem a sześć lat wiceprezesem Towarzystwa Naukowego KUL, trzy lata przewodniczącym wydziałowej komisji egzaminacyjnej, przez wiele lat przewodniczącym senackiej komisji młodzieżowo-stypendialnej. Znowu pisał i publikował, w ciągu pierwszego dwudziestopięciolecia powojennego ogłosił 135 pozycji. Prócz historii Ziem Zachodnich i Północnych zaczął interesować się dziejami ziemi lubelskiej. Opracował Bibliografię Historii Lubelszczyzny, która nie została opublikowana drukiem za życia, ze względu na zagadnienie prześladowania unitów, bardzo wyraźnie w niej występujące⁶.

Próbował dokończyć Bibliografię Historii Wielkopolski. Otrzymał stypendium z Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbył w tym celu podróż naukową do Poznania wraz ze swą żoną. Propozycji syna, który wykonał rekonstrukcję drugiego zeszytu katalogu inkunabułów biblioteki kapitulnej gnieźnieńskiej księdza Leona Formanowicza, spalonego w drukarni „Ostoja” w Poznaniu przez Niemców, chciał wraz z rodzeństwem pomóc w uzupełnieniu haseł geograficznych od litery S do Z, autor nie przyjął. Grały tu rolę dwa względy. Przede wszystkim delikatność wobec dzieci: „Wy wszyscy macie swoje prace”. Drugim powodem była chęć urzeczywistnienia wszystkich zapowiadanych działów bibliografii, a więc nie tylko osobowego i geograficznego, lecz także problemowego. To przekroczyło możliwości⁷.

Na przeszkodzie stało także zaangażowanie się w pracę polityczną, najpierw w ruchu obrony pokoju, następnie w latach 1952–1957 w sejmie. Andrzej Wojtkowski był jednym z dwu posłów, którzy odważyli się wystąpić przeciwko ustawie legalizującej przerywanie ciąży. Replikował w przykry sposób ówczesny minister zdrowia, profesor Jerzy Sztachelski, zarzucając posłom Andrzejowi Wojtkowskiemu i Janowi Dobrzańskiemu, że nie mają wielodzietnych rodzin. Ustawa weszła w życie i zebrała śmiertelne żniwo.

Skalę swych możliwości naukowych wykazał Andrzej Wojtkowski przerzucając się w ostatnich latach życia z historii nowożytnej do średniowiecznej. Zaczęło się od polemiki z Jadwigą Karwasińską na temat wydania dokumentów krzyżackich Polsce, a skończyło się na obszernym studium o tezach i argumentach polskich w sporach terytorialnych z krzyżakami w latach 1310–1454, 1454–1525,

⁶ A. Wojtkowski, Bibliografia Historii Województwa Lubelskiego. Wydały Maria Juda i Alicja Matczuk przy współpracy Artura Znajomskiego. Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2000, stron 567.

⁷ Bibliografia Historii Wielkopolski została dokończona staraniem Profesora Ryszarda Marciniaka i wydana przez Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w latach 1994–1995. A. Wojtkowski, Bibliografia Historii Wielkopolski, Tom I, Poznań 1938, stron XXVI + 484. Reprint, Poznań 1995; Tom II. Zeszyty 1–3 [Poznań 1939], stron XVI + 176. Reprint, Poznań 1995; R. Marciniak [red.], Tom II. Zeszyty 4–5. Hasła: Stodoły — Tuczo opracował A. Wojtkowski, Zeszyty 6–8. Hasła: Tuczo-Żytowiecko opracował Michał Łuczak przy współpracy Haliny Janekowskiej-Fejnas, Ryszarda Marciniaka i Elżbiety Stelmaszczyk, Poznań 1994.

1525–1772. Andrzej Wojtkowski był mistrzem kompozycji. Styl podziwiał przy rozszerzeniu habilitacji Juliusz Kleiner. Rękopisy prac przedstawiały bardzo malowniczy widok. Pisane na makulaturze, pismem bardzo drobnym i wyrobionym. Wielokrotnie cięte i naklejane w innej kolejności, ale zawsze konsekwentne i absolutnie dokładne, gdy chodzi o aparat naukowy w przypisach. Przygotowanie maszynopisu do druku z rękopisów, czym zajmował się syn w trudnym okresie pierwszych dni wdowieństwa ojca, było przygodą intelektualną wysokiej klasy. Bezbłędnie odczytać i czysto dla składaczy przepisać zdania, z których początku nigdy nie było wiadomo, jak się zakończą.

Troskliwość o młodych adeptów pracy naukowej na seminariach, wykazana już na ćwiczeniach w Poznaniu, towarzyszyła Andrzejowi Wojtkowskiemu przez całe życie. Miał wielu uczniów, jeszcze więcej oceniał prac magisterskich, bo z własnego i innych seminariów. Będąc wzorowym dziadziem brał w ciepłej porze roku do wózka wnuczkę lub wnuczka, zależnie od tego, co było aktualne, dokładał kilka prac magisterskich i jechał do ogrodu saskiego. Świeże powietrze dobrze służyło zarówno protoplaście jak i najmłodszym latoroślom rodu. Młode matki znajdowały często w parku pociechę głęboko uspioną w wózku, dziadzia głęboko uspionego na ławce, pracę magisterską otwartą na kolanach. Nigdy nic nie zginęło. Po przebudzeniu praca posuwała się normalnie.

Andrzej Wojtkowski przed wojną promował jednego doktora, Rocha Morcinka, zięcia profesora Adama Skalkowskiego. Po wojnie drugiego, Henryka Zinsa, już na KUL. Dopomógł do doktoratu dwu dalszym swym uczniom, Benderowi i Blochowi, których przewody musiały odbyć się na Uniwersytecie Warszawskim, gdyż wydział humanistyczny KUL okresowo był pozbawiony prawa doktoryzowania. Dużo większe jest grono magistrów. Serdeczna więź z dawnym profesorem przetrwała odejście na emeryturę w 1962 roku, rezygnację z zajęć zleconych w 1968 roku. Wyrazem zewnętrznym stała się uroczystość osiemdziesięciolecia urodzin i pięćdziesięciolecia pracy naukowej w auli uniwersyteckiej. Jubilat wzruszony przyznał się, że pokochał ziemię lubelską i w niej pragnie być pochowany. Było to w kilka lat po śmierci pierwszej żony († 6 XI 1967), na którą był przygotowany długą chorobą nowotworową i cichym dogorywaniem w szpitalu. Niemniej jednak na telefon o zgonie, po raz drugi w życiu rozplakał się i długo nie mógł się uspokoić.

Podporą jak zawsze stała się żywa wiara i duch modlitwy. Codzienna Msza św., chętne służenie do niej, codzienna Komunia św., Różaniec. Rozczytywanie się w Piśmie Świętym w przekładzie Jakuba Wujka — odraza do Biblii Tynieckiej, przełożonej językiem współczesnym wprost „dziennikarskim”, częsta spowiedź. Andrzej Wojtkowski na pięć lat przed śmiercią przystąpił powtórnie do sakramentu małżeństwa, biorąc sobie za małżonkę docent Marię Jasińską. Ślub odbył się w kościele parafialnym ojców kapucynów na Poczekajce w Lublinie, skromnie przyjęcie w tamtejszym domu akademickim. Parę małżeńską prócz węzła sakramentalnego łączyła głęboka religijność i wspólne zainteresowania w dziedzinie historii literatury i historii kultury.

Prawem życia wewnętrznego jest postępująca prostota. Ludwik Pasteur w głębokiej pokorze powiedział, że ta odrobina wiedzy, którą posiada, sprawia, że ma wiarę bretońskiego wieśniaka. Gdyby wiedzy miał więcej, miałby wiarę bretońskiej

wieśniaczki. Andrzej Wojtkowski miał prostą wiarę wielkopolskiego chłopca. Wyczuł to trafnie jeden z ojców dominikanów w Lublinie, który przed zadaniem pokuty na spowiedzi upewnił się: „Umiesz czytać?”

Śmierć przyszła nagle, przecięła życie w pełni sił twórczych. Po dwu nie rozpoznanych zawałach serca przyszedł trzeci, śmiertelny. Na nic nie zdały się wysiłki lekarzy. Kapelan szpitala klinicznego Akademii Medycznej w Lublinie imienia Jaczewskiego, ksiądz Włodarczyk, zdążył do umierającego. Andrzej Wojtkowski zasnął w Panu, któremu zawierzył, 7 czerwca 1975 roku i został pochowany na cmentarzu przy ulicu Unickiej w Lublinie, we wspólnym grobie z Filonią ze Stanisław. Spoczął w ziemi lubelskiej, bo ją pokochał, wyrwany przez wojnę z rodzinnej Wielkopolski⁸.

⁸ R. Bender, Andrzej Wojtkowski (20 XI 1891 – 7 VI 1975), *KH* 83: 1976, nr 1, s. 252–253; tenże, Profesor Doktor Andrzej Wojtkowski, *RH* 20: 1972, nr 2, s. 5–7; Z. Grot, Andrzej Wojtkowski i jego badania polsko-niemieckie, *Studia Historica Slavo-Germanica* 6: 1977, s. 157–165; tenże, Twórczość naukowa Andrzeja Wojtkowskiego *RH* 21: 1973, nr 2, s. 5–22; J. Jasiński, Profesor Andrzej Wojtkowski — Przyjaciel Warmii i Mazur (1891–1975), *KMW* 4(1975), s. 551–556; W. Molik, Andrzej Wojtkowski. 1891–1975, w: Wybitni historycy Wielkopolski, red. J. Strzelczyk, Poznań 1989, s. 333–346; J. Starnawski, Andrzej Wojtkowski (1891–1975) jako historyk polskiej kultury i literatury, *RH* 5: 1997, nr 1, s. 271–286; tenże, Andrzej Wojtkowski (1891–1975), *KHNT* 21: 1976, nr 3, s. 563–567; tenże, Andrzej Wojtkowski (1891–1975), Słownik badaczy literatury polskiej, Tom 1, Łódź 1994, s. 328–331; tenże, Andrzej Wojtkowski (20 listopada 1891 – 7 czerwca 1975), *RuL* 17: 1976, nr 2, s. 143–145; tenże, O profesorze Andrzeju Wojtkowskim, *ŻM* 27: 1977, nr 5, s. 88–96; J. Ziółtek, Bibliografia prac Andrzeja Wojtkowskiego za lata 1916–1971, *RH* 20: 1972, nr 2, s. 9–34; H. i J. Ziółkowie, Andrzej Wojtkowski autor Bibliografii historii województwa lubelskiego, w: A. Wojtkowski, Bibliografia Historii Województwa Lubelskiego, Lublin 2000, s. 11–19.